

Sceptyczny portret New-Jorku

Rozmowa ze Zdzisławem Czernańskim

KRAWAT CZERWONY
I NIEBIESKI

— O wpół do szóstej w hallu hotelu Europejskiego...

— Ale jak my się rozpoznamy?

— Będę w niebieskim krawacie.

— Doskonale, a ja będę w czerwonym i będę mieć parasol.

Stop. Rozłączenie telefonów.

Krawat czerwony i niebieski zeszły się na rozmowę. Dojrzały się zdaleka. Żeby nie było wątpliwości, parasol upadł na ziemię. Żeby była pewność na 100 proc. oczy właściciela czerwonego krawatu zaczęły się przypatrywać charakterystycznej grupie opatych businessmanów. Ci siedli na kanapkach. Ten czarny brzuchaty i ten perswadowujący o krogulczym nosie i ten skromny w szarem ubraniu, o siwych włosach. Boy wbiega do hallu: telefon do pana Kagan! I pan Kagan, siwy, szary, przebiega przez dywan drobnymi kroczkami, trzęsąc starą głową. I po tym telefonie patrzy jeszcze chytrze na swego grubego partnera, na chudego i na łysiego, usiłującego połknąć palące się cygaro.

Czernański obrócił oczy, wyciągnął się na sofie, nogi wystawił na środek i spróbował rozmowy.

MARSZRUTA

— Od czego zaczniemy nasz wywiad?

— Od Ameryki, Moskwy, Berlina i Warszawy. Jak długo pan u nas będzie i dokąd pan jedzie? Jakże prace tu, na miejscu i co do roboty w Moskwie i w Berlinie? Czy potem znów Ameryka? A dalej — sekret pańskiej pracy. Sekret artystyczny i sekret interesu. Jak to się stało, że pan się wprowadził do New-Yorku?

— Właśnie byłem w Londynie, po serii rysunków dostałem zaproszenie...

— Dobrze. Przybywa Londyn.

— Rysowałem w „Graphic” i, a przedtem, może pan widział, były też rysunki w „Illustration”.

— Świetnie. Przybywa Paryż. Mamy więc taką marszrutę pańskiego powołania: z warszawskiego „Cyruka” do Paryża, następnie do Londynu i Londyn otwiera panu drogę do Ameryki. Otrzymuje pan zaproszenie...

„FORTUNE”

— Od miesięcznika „Fortune”.

— To musi być pismo dla bogaczy, skoro wysłało pana do Europy.

— Tak, jest to pismo dla businessmanów. Numer kosztuje dolara i wygląda jak gruba książka. Sprzedu cały magazyn ogłoszeń, stylu cała wystawa rysunków reklamowych, a w środku ma pan wszystko. Np. o jakiejś nowej obróbce drzewa, o eksporcie, dalej o królu Karolu rumuńskim i pani Lupescu, jakiś reportaż o Reichswehrze, reportaż z Reno. Taki reportaż z Reno (stan Nevada) sam ilustrowałem. Jest to stan amerykański, w którym najprędzej można wziąć rozwód. W trzy tygodnie. Zjeżdżają więc się tam z najrozmaitszych stanów nieudane małżeństwa, odsiadują trzy tygodnie pobytu i śmiertelnie się nudzą. Łażą po dancingach, jak mogą, zabijają czas.

— Dla zrobienia serji takich rysunków długo pan musiał być w Reno?

— Kilka dni. Rzecz polega na obserwacji. Chodziłem krok w krok za małżeńskimi parami, piłem cocktaile w barach i rysowałem. Daję rysunek wydobywający charakterystyczny wygląd miasta, a dopiero w wyglądzie postaci zaznaczam humor. W Ameryce jest dosyć trudno z rysunkami tego rodzaju. Tam w tygodnikach są przyzwyczajeni do angielskiego typu humoru rysunkowego. To wygląda tak, że stoi sobie dwóch zwyczajnych panów, każdemu z gęby idzie jakiś obłoczek, w obojętnym wydrutowanym, napisane, na brzuchu znów jakiś szary napisami i jeszcze pół strony tekstu u dołu. Według mnie dowcip musi być w samym obrazie, nie tłumaczony żadnymi komentarzami.

20 — 35 LAT

— Czy pan wprowadza też dowcip zawarty w samym pomysłach?

jak np. „marszałek w ramach konstytucji”?

— Usiłuję, ale właśnie Ameryka nie zna się jeszcze na tem skoncentrowaniu dowcipu. Poza — dla rysownika nie jest łatwo o dobre miejsce. Pisma wołały fotografie, bo to jest tańsze. Rysownikowi trzeba zapłacić honorarium. Proszę pana, w Ameryce kokosy już się skończyły. Tam jest ciężko, coraz ciężiej. Ja pracuję w miesięczniku. Moja „Fortune” opiera się o swego bliźniaka, tygodnik „Time”. Ci mogą pozwolić sobie na wysyłanie mnie do Europy, bo mają nakład rozsyłany na całe Stany. Do tego stopnia, że żeby się łatwiej rozchodziło, redakcja jest w New-Yorku, a drukarnia w Chicago.

— Tak. A to jest odległość tego rodzaju, że jak wyleciałem z Yorku o wpół do szóstej wieczorem, w Chicago lądowałem o 1 w nocy. Przed terminem wysłania materiału ludzie pracują w sobotę, w nocy z soboty na niedzielę, w niedzielę, w nocy z niedzieli na poniedziałek, w poniedziałek i dopiero stop. Tempo zwalnia. Zdarzy się jakiś skandal w Europie, to oni muszą zaraz mieć. Z fotografii. Z informacją. Z tem. Z podłożem. Z oświetleniem sprawy. Ze statystyką. A niech się tam w tej statystyce jedna cyfra nie zgadza, to faceta od razu wyleją z redakcji. Najstarszy redaktor ma 35 lat. Zasada: mogą pracować ludzie w wieku od 20 do 35 lat, wypompują człowieka, a potem go wyrzucają. Uważają, że dziennikarz po 10 latach pracy jest już zrutynizowany, będzie się powtarzał, jest stary, zamienia się w domatora, w wygodniaka, będzie siedzenie wygrzewał na fotelu w redakcji, zamiast zmieniać miejsca pobytu po całym świecie.

SPRZEDAŻ MÓZGU

— To jest metoda czysto kapitalistyczna. Wykorzystać i wyrzucić.

— Tak, ale dostać pracę w „Time” to jest dla młodego dziennikarza szczęście. Sprzedaje swój mózg redakcji. Pracuje całą energią i nie ma czasu na zastanawianie się, co będzie, gdy skończy 35 lat. Kto w Ameryce ma pracę, ten jest zaorany robotą. A kiedy wreszcie ma wolną chwilę, to idzie do nocnych lokali, idzie pić, idzie do kina, do teatru. Jest tak wyssany pracą, że potrzebuje rozrywki, jak wody. W ten sposób wyniszcza się w dzień i wyniszcza się w nocy.

— A jak pan żył w Ameryce?

— Zaaklimatyzowałem się jako tako, jednak Europejczyk musi się przeciwstawić od czasu do czasu i wypocząć.

— Teraz pan odpoczywa.

— Jestem ciągle zmęczony. New York to jest miasto o piekielnym klimacie. W lecie panuje żar nie do wytrzymania i w tym roku, gdybym był w New Yorku czy miałbym robotę, czy nie miałbym, wyjechałbym w lecie z miasta,

gdyż takiego piekła raz jeszcze bym nie wytrzymał. Ostatniego lata siedziałem w tej kamiennej pustyni i piekłem się, bo choć to nie sezon, ale zawsze mogło spaść jakieś zamówienie.

— Pan w sumie długo był w Ameryce?

— 2 lata i 8 miesięcy. A znów w zimie — New York stoi na otwartym polu, z tej strony rzeka i z tamtej strony rzeka. Śnieżyca, zawierucha. Wiatr, wieje na kratach między drapaczami. Na ulicach wydmuch. Kto może, pije. Znieśli prohibicję, a właściwie jej nie było. Policjant stanu new-yorskiego, jak zmarzył, wstępował na kieliszek do zabronionego lokalu. Uwijały się tam dwie brygady policji federalnej i zamykały restaurację, czy bar, na to, żeby dostać kilkadziesiąt tysięcy i znów otworzyć.

RELIGIA DOLARA

— Czy Ameryka naprawdę jest tak przekupna?

— Religia dolara. Nawet w kościele, jak pan ma pieniądze, to pan kupi sobie bilet do pierwszego rzędu za 2 dolary, a jak pan jest bezrobotny, będzie pan stał w drzwiach. Ludzie bez opamiętania gonią za pieniądzem. Nie mogą zrozumieć, że dęta prosperity już się skończyła i że nie wróćą do tamtego poziomu życia. Harują bez końca na to, żeby kupować nowy jakiś zareklamowany wyrób, wierzą w reklamę i wierzą w giełdę. Na giełdzie chcą zarobić, a słuchając reklamy chcą sprzedać.

— Przecież jeżeli ktoś ma przyzwoity dochód, może oszczędzać i składać kapitał na procent.

— Kapitał? Kapitał na procent? — Czernański skrzywił się w uśmiechu, założył nogę na nogę, wpakował rękę po łokieć w nogawkę i wykipl: — Panie, tam nikt nie oszczędza. Tam człowiek chce żyć, chce pchać swoją niby wolność przez tę parę godzin, które ma czasem wolne. Bawia się i piją. No, a jak już wyjadą na week-end, to dopiero jest chlanie.

— ...

— Panie, gdzie tam składać pieniądze? Bank robi plajtę, albo go okradną, kupi dom — dom stoi pustki, sklep, interes — jak się przechodzi 5 Avenue, najbogatszą ulicę świata, to zamknięte biura i sklepy, jak trupy ozdabiają ulicę. Marmurowe ściany drapacza chmur, okna zamalowane, albo zasłonięte. Stop. Plajta. Tam sytuacja jest taka, że np. malarz, znany malarz, który mnie fetował przez dwa tygodnie, jak przyjechałem, który miał na 5 Avenue biuro, mieszkanie, pracownię — niedawno przyszedł pożytyczkę odemnie 5 dolarów. Znałem taką panią, co dostała średni spaćdek 40 tys. dolarów, dziś ma 8, bo resztę straciła na giełdzie. Za czasów prosperity, byle skalecze-

nie, leciało się do doktora, a ten zdierał 30 dolarów. Jeden człowiek dął z drugiego, dziś się to wszystko skończyło. Zamiast tego są marsze bezrobotnych, bezrobotni zaludniają Central-Park, w nocy śpią na ulicach, pod łożyszy pod głowę gazetę.

ROOSEVELT

— A Roosevelt? Czy wierzą w Roosevelta?

— Roosevelt zmniejszył trochę bezrobocie. Ja wprost nie wyobrażam sobie, żeby można było ogarnąć taki obszar jak Stany jedną silną władzą. Tam wszystko trzeba zmienić od samego dna, a kto potrafi trzymać w ryzie taki kraj, w którym z New Yorku do Frisco jedzie się 6 nocy. W Roosevelta jednak wierzą. Tłum widzi, że Roosevelt działa. A Hoover raczej był niepopularny. Ten pan, jak miał gębę otworzyć, to zaraz jechał na ryby. Miał wydać decyzję w piątek, mówił, że powie, jak wróci w poniedziałek, bo zaczyna week-end. Ameryka czeka na rezultaty akcji Roosevelta. Tymczasem jest dość duże przynębnienie i niepewność jutra.

— Pan nie myśli o serji amerykańskiej?

— Mam projekt zrobienia teki rysunków w rodzaju mojej „trzy-nastki” o Piłsudskim, ilustrującej „nową erę Roosevelta”, jak to nazywają w Stanach. Tymczasem zrobię rysunki z Moskwy, Warszawy i Berlina dla mojego nowojorskiego miesięcznika. Poza tem mam jeszcze jeden plan.

— Jaki?

DUSZA MIASTA

— Polski album. Polska w obrazkach. Myślę, że byłaby to rzecz pożyteczna dla naszej propagandy. Żeby już nie ciągle ta kolumna Zygmunta. Etranżerom trzeba pokazać to, co u nas jest odrębne. Przedewszystkiem Stare Miasto. Te kocie łebki, co nas irytują, dla zagranicznych burżuów są egzotyka. Do tego przekupka ze starego rynku. A wszystko razem — wyciągnąć duszę miasta. To nie jest karykatura. To jest portret z odrobina humoru i sentymenciku. Ta kombinacja jest, jak mówią, w mojej sztuce charakterystyczna.

To określenie zrobiło Czernańskiemu przyjemność. Wyjął papierośa z ust, z satysfakcją utłamał go w popielniczce. Sięgnął po nowego. Zaciągnął się, spojrzął — i stwierdziliśmy, że dosyć. Stop. Wywiad skończony.

Plucha, deszcz. Czernański w małym brązowym kapelusiku, w bordo krawacie przy popielatej koszuli, w szarem palcie, wysoki, zagraniczny, elegancki, wycięta sylwetka z ilustracji amerykańskiego magazynu, krokiem flaneura depcze zwir placu Piłsudskiego.

Zdz. Broncel

Opera Ludowa

w „Domu Żołnierza”

W roku ubiegłym grupa artystów opery katowickiej i lwowskiej powzięła myśl stworzenia popularnych przedstawień operowych, przeznaczonych dla szerokiej warstwy społeczeństwa i wojska — w porozumieniu i przy współpracy Zarządu „Domu Żołnierza” na Pradze. Działalność rozpoczęła wystawieniem opery „Madame Butterfly” i dano kilkanaście przedstawień, które cieszyły się wielkim powodzeniem. Wskutek przyczyn od zespołu niezależnych, dalsza praca musiała być przerwana.

W roku bieżącym zarządzenie, zorganizowawszy zespół jako

„Polska Opera Ludowa” wznowia swą działalność również w porozumieniu i przy współpracy Zarządu „Domu Żołnierza” na Pradze. W ubiegłym tygodniu odbyły się w teatrze na Pradze (Dom Żołnierza) dwa przedstawienia opery „Halka” specjalnie dla wojska i cieszyły się wielkim powodzeniem.

Dnia 8-go i 10-go czerwca odbędą się dalsze przedstawienia „Halki” dla cywilnej publiczności w tymże Domu Żołnierza. Udział biorą poza wspomnianymi artystami — chór z 40 osób oraz orkiestra symfoniczna 36 p. p. Ceny biletów od 50 gr. do 2 zł.

Z nauki i sztuki

Literatura

— Wyjazd członków P. A. L. do Paryża. W najbliższą sobotę udaje się do Paryża na obchód 100-tych rocznicy powstania „Pana Tadeusza” delegacja Polskiej Akademii Literatury. W skład delegacji wchodzi prezes Wacław Sieroszewski, sekretarz generalny J. Kaden - Bandrowski, Zenon Przesmycki i prof. Juljusz Kleiner.

Teatr

— Puchar srebrny dla aktorów kra-kowskich. Jak donoszą pisma, p. Michał Janoszek złożył na ręce prezydenta dr. Kaplickiego cenny stary puchar srebrny w formie kielicha z ornamentem rokokowym, który ma stanowić nagrodę przechodnią dla tego artysty dramatycznego teatru im. J. Słowackiego, który na mocy orzeczenia powołanego jury, uznany zostanie za najlepszego od-twórce jednej z ról ubiegłego sezonu teatralnego.

— Stulecie Teatru Zurychskiego. Teatr Zurychski obchodzi obecnie stulecie swego istnienia. Jubileusz ten uświetniony jest specjalnym programem, obejmującym kilka najlepszych sztuk i oper, w których szeregu wybitnych artystów daje występy gościnne.

Muzyka

— Z międzynarodowego konkursu tanecznego w Wiedniu. Wczoraj ukończono ścisły konkurs w międzynarodowych zawodach tańca artystycznego. Brało udział 27 solistek, w tem 8 z Polski, 8 zespołów, w tem 3 polskie i 2 duety, w tem jeden polski.

Po ukończeniu konkursu wybrano komisję oblażeniową, w skład której weszli prezes jury, dwóch członków komitetu organizacyjnego, oraz 2-ch członków konkursu, wydelegowanych z łona międzynarodowego jury. Obliczenia będą trwały prawdopodobnie przez całą noc.

W czwartek wieczorem odbędzie się w wielkiej sali Konzerthausu występ publiczny laureatów i uroczyste rozdanie dyplomów, na które przyjechał specjalnie z Paryża prezes międzynarodowego Archiwum tańca Rolf de Marcs.

— Odmowa Furtwaenglera. Słynny dyrygent berliński Furtwaengler

odmówił swego udziału w festiwalu Salzburskim. Koła wiedeńskie są przekonane, że odmowa nastąpiła z motywów politycznych.

Plastyka

— Wieczory dyskusyjne na temat architektury. W najbliższy piątek o godz. 19-ej odbędzie się na terenie wystawy architektury francuskiej w Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej drugi wieczór dyskusyjny, podczas którego dyrektor Państwowych Zbiorów Sztuki, dr. A. Lauterbach wygłosi referat na temat „Stosunek architektury do historii sztuki”. Udział w wieczorze wzię mają pozatem rektor T. Pruszkowski, profesorowie Jastrzębowski, Wittig, Tatarkiewicz, Tołwiński, La-lewicz, Kamiński i inni.

Różne

— Z katedry języków słowiańskich w Helsingforsie. Z dniem 1-go sierpnia r. b. przechodzi na emeryturę, na własną prośbę, profesor języków słowiańskich na uniwersytecie w Helsingforsie, dr. J. J. Mikko-la, doktor honoris causa uniwersyte-tu Stefana Batorego. Następca prof. Mikko-la na katedrze języków słowiańskich dotychczas nie został mianowany.

Nowe książki

SZUMAN J. N.: Harmonja czynu. Zarys nowej etyki. 80. str. 104. Poznań, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 3.50.

WIESIOŁYJ A.: Rosja krwią zmyta. T. I. Powieść. Przełożyła M. Popowska. 80. str. 303. Warszawa, 1934. „Rój”. Zł. 3.

ZYCZYŃSKI H.: Mickiewicz w Odesie. 80. str. 16. Lublin, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 0.60.

JESZCZE JEST NA SKŁADZIE
rewelacyjna książka

Stefana OSSOWIECKIEGO

p. t. „Świat mego ducha
i wizje przyszłości”

== CENA 10 ZŁ. ==

Z plastyki

Wystawa fotografii sowieckiej

Świat, oglądany z wysokości naszego wzroku, jest wiecznie ten sam. Pole naszego widzenia ma jednakowy zasięg i w obrębie swój ciągle zagarnia to samo. Ale spróbujcie pójść do lasu np. i tam położyć się na ziemi. Zmieni się zawartość widzenia. To, co deptane zwykle naszymi stopami, uchodzi naszej uwadze, wykwitnie tuż przed oczyma, jako nowa nieznana i frapująca rzeczywistość. Przybliżcie twarz do cudzej twarzy i jej fragment, który wyryśnie teraz przed wami, jak góra, wyda się czemś nigdy dotychczas nieoglądanym, niemal nicsamowitem. Twarz, która się nad nami nachyla blisko, blisko, jest inną od widzianej w zwykłej pozycji, wartością o nowym wyrazie.

Ludzie są jednak wygodni, leniwi i mało pomysłowi. Rzadko zmieniają swój punkt obserwacyjny. Pierwsza z wymienionych odmian staje się przypadkowym udziałem wypoczywających, do drugiej mają już już częstszą

chyba okazję... zakochani. Ale, oczywiście, nie korzystają z niej.

Dlatego właśnie to, co utrwalamy, jako rzeczywistość przez nas widzianą, jest tak jednostajne. Plastyki mogą jeszcze różniczkować tę samą treść plastyczną, przez odmienny sposób ujęcia, przez pewną deformację rzeczywistości, przez odmiany wykonania, techniki i faktury. Na swe usprawiedliwienie mają pozbawione prawa wzroku, które zniewalają artystę do usadowienia się przed odwarzanym modelem w obrębie dość ograniczonego pola.

Lecz fotograficy, którzy nie mają tych atutów do wygrania (aparaty notują zawsze tak samo) muszą dbać o ciągłą zmianę treści, chwytanej przez oko obiektywu. Nakazem dla nich jest ruchliwość, zmienność punktu widzenia, a przywilejem — łatwość notowania z wielu pozycji i miejsc często b. trudnych, lub zgola niedostępnych na dłuższy okres czasu dla malarza.

Każda umiejętność, jeśli chce

pretendować do rangi sztuki, musi iść po linii właśnie wyzyskania i podkreślenia swych możliwości. Rozumie to dobrze fotografia sowiecka; grzeszą prze-cieżko temu zasadniczemu prawu — jak to nieraz miałem sposobność zaobserwować — fotograficy polscy. Czy fotografia jest sztuką? Mojem zdaniem — i nie uważam tego za paradoks — nasza nie jest sztuką często właśnie dlatego, że ją (malarstwo, grafikę) naśladuje. Ideałem wielu znanych mi, wybitnych polskich fotografików, jest doprowadzić odbitkę fotograficzną do tego, by naśladowała do złudzenia kreskę, tusz i t. d. Takie podejście do fotografii trzeba uważać za wręcz fałszywe. Drogą przetrwania, retuszów, podkreśleń, a więc pracy nie wykonanej przez aparat, fotografik (polski) pragnie wnieść swe dzieło ponad poziom zwykłej fotografii. Jeśli ledź już przetrwać w surowym dokumencie zdjęcia, dodaje lub ujmując, — konsekwentnie byłoby całą rzecz samemu narysować. Ba, coż kiedy tego nie potrafi.

Fotograf - artysta nie dlatego winien posługiwać się aparatem, by ten zastąpił jego rysow-

niczą nieumiejętność, lecz potę, aby z aparatu fotograficznego wy-dobyć te bogate i jedyne dlań możliwości, których oko i ręka ludzka osiągnąć w takim zakresie nie jest w stanie. Nie ponadto, co zanotowało oko obiektywu! Miare swego artysty daje fotograf w wyborze motywu, w sposobie podjęcia do niego (perpektywiczny punkt widzenia), w sposobie rozłożenia treści plastycznej na prostokacie obrazu (kompozycja), wreszcie w dozowaniu przedmiotów na płaszczyźnie (stosunek tła do treści).

Takie jest słuszne stanowisko fotografii sowieckiej i możnaby jej wyniki określić mianem stylu klasycznego fotografii.

Tezy powyższe wyprowadziłem, nie na podstawie prac, zgrupowanych teraz w Tow. Fotograficznem. Były one wyrazem moich przekonań jeszcze dawniej, gdy przy rozmaitych okazjach, nawoływałem fotografikę (zwłaszcza polską) do nawrotu z błędnej drogi. Wystawa fotografii sowieckiej potwierdza tylko słuszność moich twierdzeń. Żadnych tu retuszów, żadnej mazgajskiej, lub liryzującej malowniczości, żadnego również naśladownictwa. ma-

larstwa w wyborze motywów. Niema widoczków nastrojowych, aktów „estetycznych” upozowanych, historycznych mgiełek.

Fotografia nasza i nie nasza wlokła się często w ognisko malarstwa i to nie ostatnie! Aby (impresjonizm). Fotografia typu sowieckiej, niczego nie naśladowuje, odwrotnie: sama może dać impuls, w pewnym zakresie, współczesnemu malarstwu. I była już podjęta dla pewnej dziedziny sztuki, np. grafiki plakatowej (wszystkie ujęcia z lotu ptaka).

Zwracając uwagę na wystawie sowieckiej portrety i studya, typów, z reguły powiększone, do nadnaturalnej wielkości. W ten sposób odkrywamy w twarzy wiele wartości we fragmentach, które zwykle uchodzą naszej uwadze. Aparat fotograficzny, przez swą nieubłąganą wnikliwość, jakby predystynowany jest do ukazywania naskórka, rzeczy, tkanki materiałów. On też z drobiazgową pieczołowitością, notuje jednoczesną wielorakość życia (ulica) i ułamek ruchu (sport).

Wszystkie prawie zdjęcia sowieckie są znakomicie skomponowane. I mają dużo wyrazu.

Wiktor Podolski.